

Wesele w Atomicach

Stanisław Mrożek

Hej, wysoko ci u nas technika stanęła, wysoko...

Pan młody miał pod lasem niezły kawał laboratorium i coś ze dwa reaktory wedle cesarskiego gościńca, zaś w samym obejściu nieduży, ale schludny zakład chemicznej syntezy. Pannie młodej ojciec dawał w posagu całą siłownię, w dobrym punkcie, w samym środku wsi, przy kościele. A do tego miała w malowanym kufrze chyba ze sześć patentów z dziedziny biochemii. Nic dziwnego, że młodzi byli dobrani i rodzice obojga wnet się na małżeństwo zgodzili. I ogłoszono w Atomicach wesele.

Akurat żem walcował blachę na zimno, jak brat panny młodej przyszedł na wesele mnie zapraszać. Był ci to postawny uczony, kolega mój jeszcze z katedry. Boga pochwalił, bose nogi na słomiance wytarł i na zydlu przysiadł.

Trochę trudno nam było rozmawiać, bo tego roku odrzutowce szczególnie jakoś licznie się zleciały i pola startowe za stodołą sobie uwiły, coraz też któryś w powietrze wzlatywał i głośnym świegotem swoim słowa nasze tłumił.

— Ano, wydajemy ją za mąż — westchnął gość. — Ino żeby awantury jakiej na weselu nie było — dodał strapiony.

— Bo co by miała być — odpowiedziałem. — Przecie to jest wesele pokoju, no nie?

Posiedzieliśmy jeszcze z kwadrans, popatrzyli, jak dzieci wracają drogą z uniwersytetu, jak stary Józwa zwozi do stodoły paliwo, a potem pożegnał się i poszedł.

Nadszedł dzień wesela. Trochę nieporęcznie wypadło, bo akurat w tym czasie zaczęli u nas przekształcać przyrodę. To, co było zalesione, ucywilizowano, ale za to zmeliorowano, zaś pustynię zalesiono. Rzekę zawrócono, żeby płynęła w drugą stronę. W związku z tym droga do kościoła wypadła nieco dalej, zaś u mnie na podwórku powstała wielka tama o poważnym znaczeniu gospodarczym, tak że drzwi się całkiem nie odmykały i z trudnością można było wyjść z domu.

Kiedym na miejsce przyszedł, akurat zaczynały się oczepiny. Druhny śpiewały:

*Jak cię będą czepić,
spójrzj do powały,
żeby twoje dzieci
czarne oczka miały.*

Potem zrobiły jej elektrolizę i wyprowadziły do komory ciśnień.

Tymczasem gości przybywało. Wszyscy byli w ludowych termostatatach nałożonych na granatowe garnitury kort-tenis. Niektórym już się kurzyło ze skafandrów. Na podwórku podchmieleni piloci trzaskali z rur wydechowych. Psy szczekały.

Ale dopiero po kościele zaczęła się prawdziwa zabawa.

Stałem na przyzbie, żeby przedwieczornym powietrzem odetchnąć. Z izby dochodziły różne dźwięki muzyki dodekafonicznej, to znów syntetycznej. Coraz to buchały przyśpiewki a przytupywania. Kłębiły się, wrzały jurne siły wytwórcze. Na niebie pojawiła się gwiazda. Dzieci rzucali w nią kamieniami.

Wesele trwało w pełni, gdy jakoś przed jedenastą wyskoczył na środek młody Smyga z za rzeki, tancerz zawołany, pieśniarz i filut. Okręcił się parę razy, stanął przed orkiestrą i zaśpiewał na poczekaniu:

*Już się przed wsią naszą
jasna przyszłość mości,
przez szczęście społeczeństwa
do szczęścia ludzkości!
Oj, dana, oj, dana!*

Bardzo się to wszystkim spodobało. Powstał śmiech i głośne brawa. Ale już młody Pieg odbił się, wyciął hołubca, czapkę na bok skręcił i zaśpiewał w odpowiedzi:

*Najpierw trzeba zacząć
od spraw moralności:
do szczęścia społeczeństw
przez ducha czystości!
Hop, dziś!*

Na to znowu śmiech i brawa. Poniektórzy zaczęli krzyżeć na Smygę, żeby Piegowi się odciął. Ale ten nic nie rzekł, jeno cichaczem Piega zaszedł i niespodziewanie wypalił go głowicą atomową, co ją miał schowaną za pazuchą. Pieg zatoczył się i zaczął promieniować, ale zdążył jeszcze guzik u surduta nacisnąć i z wyrzutni, co ją miał ukrytą w prawej nogawce, raketę średniego zasięgu prosto w czoło tamtemu puścić. Byłby niewątpliwie Smygę wykończył, gdyby nie to, że mu ostatni człon rakiety nie odpalił i przez to nastąpiła dewiacja z kursu. Cofnął się Smyga, zakołysał i oparł o barierę cieplną, ale ta pękła i Smyga poleciał w głąb temperatury, przy stale wzrastającym jej współczynniku.

— Ludzie, co robita?! — zawołał ojciec panny młodej, wskazując na staroświecki, ścienny licznik Geigera.

Ale już gwałt się podniósł i rwetes, i na środku izby zaczęły szybko wyrastać ogromne niebieskie paprocie - zwyczajna rzecz przy wzmożonej radioaktywności w zamkniętym pomieszczeniu. Już i inne rakiety latać zaczęły, jeden tylko Bańbuła zachował przyzwoitość i konwencjonalnie rznął nożem. Wtem gwizd ostry się rozległ. To gospodarz, widząc, że inaczej gości nie uspokoi, skoczył do domowego rezerwuaru, odkręcił kurek i gazy bojowe na izbę puszczając, rozpoczął zakażanie. Rzucili się wszyscy do kombinezonów, ale mój okazał się nieszczelny, ponadto śpiący już trochę byłem, więc postanowiłem zaniechać zabawy i pomału do domu się zbierać.

Noc była jasna, bo od zagrody, gdzie odbywało się wesele - takie promieniowanie biło, że bez trudu drogę znajdowałem. Szło się rześko, bo deszczyk radioaktywny też skropił raz i drugi. Trochę mi tylko to przeszkadzało, że czułem ssanie w organizmie, no, ale po zabawie - to rzecz zwyczajna - no i to, że zaczęły mi wyrastać dodatkowe nóżki, po trzy pary z każdej strony, zielony róg na czole, a na grzbiecie chitynowy pancerzyk. Jakoś jednak dobrnąłem do chałupy, przelałem przez szparę w ramie okiennej i znalazłszy sobie zaciszne miejsce na listwie za szafą, z dala od pajaków - zasnąłem spokojnie, rozpamiętując, jak to było na tym hucznym weselisku.